JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

DJABEŁ, TOM TRZECI

Józef Kraszewski

Djabeł, tom trzeci

«Public Domain»

Kraszewski J.

Djabeł, tom trzeci / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

© Kraszewski J.
© Public Domain

Содержание

Tom III 5
I 5
II 11
III 14
IV 20
Конец ознакомительного фрагмента. 22

Józef Ignacy Kraszewski
Djabeł, tom trzeci

Tom III

I

Wieczorem u pani starościny mołogolskiej, u pani Opeckiej, u hetmanowej Ogińskiej, u wojewodzicowej mścisławskiej, gdzie się zbierało dużo osób z przybyłych do Warszawy i ze dworu, o niczem nie mówiono, tylko o przygodzie owej jenerała i podczaszyca, a trafem dziwnym, wszyscy już powtarzali wierszyki o osobach z któremi byli źle, w zupełnej będąc niewiadomości innych co się do nich samych lub ich stronnictwa stosowały. Powszechnie unoszono się nad dowcipem paszkwilisty, a że z niego zarówno, ze śmiałości wielkiej i z sentymentów jakiemi wiersze były na wskróś przejęte, słynął na ówczas szambelan Węgierski, jemu też powszechnie tę sztuczkę przypisywano. Sąd Trembeckiego, który bez ogródki starościca korytnickiego uznał autorem zagadek, wielkiej tu także był wagi. Nie wiedziano tylko, kto w tak zuchwały sposób wierszyki te po Warszawie za pomocą jasełek chciał rozpowszechnić, zapewne w celu politycznym. Opowiadanie o szynkowem widowisku w tysiączne ubierane dodatki, a między innemi, że lud oburzonego Bauchera dobrze wyszturgał, wywoływało śmiechy ogólne.

Śmieli się nawet najsrożej pokaleczeni, bo o sobie nie wiedząc jeszcze, cudzej biedzie radzi byli. Z tego powodu i podczaszyc Ordyński grający tu jakąś rolę zwrócił uwagę powszechną. Damy, zwłaszcza te które w tej chwili były niezajęte, przy których sigisbejstwo wakowało przypadkiem, lub aspirantami tylko tymczasowymi zapełnione było, powtarzały sobie na ucho różne wiadomostki o podczaszycu Ordyńskim. Zjawienie się młodego ładnego chłopca ze wsi, w owe czasy powszechnego zepsucia, nie mogło przejść niespostrzeżone. Z początku póki go widywano u boku matki, wydawał sie trochę za młodym, i podczaszyna imponowała, ale gdy usłużni przyjaciele rozgłosili, że bywa u Frascatelli, że go z nią widziano na ulicy nawet, wielkie wrażenie zrobiło to po salonach. Wojewodzicowa mścisławska, która od syna pierwsza się podobno dowiedziała o tem, że podczaszyc do tancerki uczęszcza, odezwała się wieczorem u starościnej mołogolskiej:

– Wiecie państwo, że ledwie matka odjechała, już się ten młodzieniaszek w świat puścił, żal mi go bardzo że tak lichy uczynił wybór i myśli śmiecie z ulic wymiatać, szkoda jego młodości!

– Zwłaszcza – dodała gospodyni z ostrym uśmiechem – gdy mu o coś lepszego, przy jego minie i świeżości, niezmiernie byłoby łatwo.

– Zapewne – odpowiedziała księżna – ale jak to raz rzuci się w te niższe klasy towarzystwa, któżby potem chciał po tancerkach zbierać niedogryzki?

– Pozwólcie panie, bym się też za nim ujął trochę, odezwał się przytomny na wieczorze książę Nestor; wiem z pewnością od jenerała Bauchera, że to jeszcze bardzo niewinny i skromny dzieciak. A co się tycze tej tancerki, wszystkim nam wiadomo, że ona do tych dziwnych zaklętych istot należy, na które patrzy się z podziwieniem nie mogąc ich zrozumieć. Naraża się na języki, ale nikt jej nie dowiedzie jednego prawdziwego kochanka.

– Ależ – zawołała gospodyni, wasza książęca mość dziwnie też jesteś naiwny, że wierzysz cnocie tancerki, która jeździ na wieczorki do księcia podskarbiego!

– Ona jeździ i chodzi wszędzie, gdzie się jej zamarzy – rzekł książę – a z tego co na nią powiadają śmieje się niemniej.

– Porzućbo ten przedmiot – przerwała matka – utrzymujesz dziwaczne założenie! Sensu w tem niema!

– Powracam więc *à mes moutons* – dodał książę Nestor – to jest do podczaszyca. Jenerał mi mówił, że dziwny z niego nowicjusz, choć ogromna w nim ochota puszczenia się w świat. Nie brak mu nawet wcale dobrego wychowania, ale nieśmiały. Dobrzebyście panie zrobiły, biorąc na siebie wykrzesanie go i wyrobienie zeń człowieka. Zadanie przykrem by nie było.

Rozmowa toczyła się ciągle po francuzku, a przytomna jej żona posła pruskiego pani Luccesini, piękna Włoszka z czarnemi ognistemi oczyma, słynąca z zalotności, której obojętność męża swobodne i rozległe dawała pole, słuchała z innemi z podbudzoną ciekawością. Gdy książę Nestor skończył, śmiało odezwała się prosząc go, żeby jej tę osobliwość przyprowadził i zaprezentował.

Nikt się nie dziwił temu, nikt się nie uśmiechnął, kilka innych pań goniących resztkami piękności lub pięknych jeszcze, mimo że wcześnie z wdziękami swemi na świat wybiegły, chórem powtórzyły tę prośbę do księcia za posłową.

– Ale prawdziwie – śmiejąc się odparł piękny jenerał – mógłbym mu pozazdrościć tylu ciekawości i takiego szczęścia.

– Rzeczywiście – dodała Lucchesini – przypominam sobie, żem go gdzieś już widziała, bardzo to ładny dzieciak.

– Czy piękniejszym go pani znajduje – szepnął na ucho posłowej książe – nawet od młodego Ursyna (Oursino).

(Wieść już wtenczas dawała pani Lucchesini znajomego pod tym przydomkiem w świecie, autora *Powrotu posła*).

Włoszka podniosła oczy niezaćmione, jasne, śmiałe na pytającego, i dodała jakby nierozumiejąc:

– Któż to jest Ursyno?

– Poseł inflantski.

– Kub…? – śmiejąc się podrzuciła.

– Niech pani przypomni sobie, że jest drugi przecie!

– A! wiem o kim pan mówisz – z równą odwagą, ale ciszej odpowiedziała Lucchesini. – A! a! jakże ich porównywać można: Ursyno choć młody, tyle już przeżył miłostek ile ma lat!!

– Jest nadzieja, że dzisiejsza miłość jego będzie ostatnią – dodał po cichu książę.

– Nie rozumiem mości książę – zimno odpowiedziała posłowa – jak gdybyś mówił po polsku: (*C'est du polonais pour moi*).

Lucchesini, która nic nie umiała po polsku i gniewała się, gdy przy niej mówiono tym językiem, zwykle się w ten sposób wyrażała.

Na tem ogólniejsza przerwała się rozmowa, gdy jak na toż, jenerał z podczaszycem weszli na pokoje pani starościnej.

Dom jej był naówczas jednym z tych salonów prawie codziennie otwartych, gdzie się ludzie wszystkich niemal stronnictw spotykali. Służył on za *rendez-vouz* nie jednej zakochanej parze, nie mogącej zejść się gdzie indziej, za plac spotkania nie bijący w oczy potrzebującym widzieć się tajemnie, dokąd każdy dążył pewien, że tam najświeższe plotki i połowę Warszawy znajdzie. Uprzejmość, dowcip gospodyni (Anny ze Scypionów Szaniawskiej), czyniły wieczory jej jednemi z najprzyjemniejszych i najwięcej uczęszczanych. Ton w nich panujący był naturalnie francuzki ówczesny, ale prawdziwie wielkiego świata.

To też najznakomitsze osoby owej epoki wolały tu spędzać godziny wieczorne niż gdzieindziej, a gdy inne paradniejsze salony stały pustką często, tu natłok był zawsze. Każdy przybyły do Warszawy musiał się prezentować starościnie, i indygenat otrzymawszy w jej domu, pewnym był przyjęcia u innych. Nie dziw więc że jenerał przywiódł tu swego protegowanego, by nigdzie nie spodziewał się sam spotkać więcej osób i lepiej rozsłuchać czem Warszawa tętniała, a podczaszycowi z tego stanowiska najskuteczniej mógł całe towarzystwo ukazać. Kolacyjki też pani starościnej dosyć mu smakowały; nie były to wymyślne przysmaki Lukulla, ale miały staropolską zawiesistość i obfitość,

czem się inne pochlubić nie mogły. Jenerał umiał te przymioty ocenić, gdyż po innych stołach choć wytworne, skąpe bywały półmiski i niedostępne dla wielu, bo o nie prawie bój staczać przychodziło.

Starościna obu przybyłych powitała swoim zwyczajem z godnością a uprzejmie; oczy wszystkich kobiet zwróciły się zaraz na wilka o którym tylko co była mowa, a co tak w porę przyszedł. Wilk nasz wydał się im czem był w istocie, wielce powabnym, pięknym młodym chłopakiem, którego resztka nieśmiałości dziecinnej jeszcze wdzięczniejszym uczyniła. Zewsząd się piękne oczki trochę bezwstydnie zwróciły ku niemu, a jenerał który tego zaraz jakoś dostrzegł, westchnął pomrukując: *O aurea juventus!*

Ten który był celem tak ognistych napaści, najmniej się ich domyślał: zatrzymała go zaraz przy sobie księżna wojewodzicowa, na którą aż strasznie ramionami ruszać zaczęto w młodym kątku, że tak świeżuchnego kawalera na szczątki swych trędowatych wdzięków zwabić chciała. Jej żywa i ośmielająca rozmowa, dowcip szyderski, gwałtowna chęć podobania się, której już maluczko czasu do popisu zostawało – uwięziła na chwilę podczaszyca. Pragnął może przejść gdzieindziej, spotykając i czarne ogniste oczy Luccesini ku sobie zwrócone znacząco i kilka par różnych odcieni wejrzeń szukających oka jego, promieniejących zalotnością, melancholją, wesołością, obietnicami – ale grzeczność go nie puszczała. Nareszcie gospodyni zrzuciła z niego te kajdany, powołując ku sobie i niecierpliwej przedstawując Włoszce.

Szczęściem, tego wieczora posła inflantskiego nie było, zatrzymali go Mostowscy; Lucchesini więc zagarnęła podczaszyca i schwyciła jak swego – nic jej nie przeszkadzało.

– Teraz już – szepnął jenerał – choćby go starościna spróbowała przywołać, z tych pięknych łapek nie tak się łatwo da odebrać jak od ks. wojewodzicowej!!

Mienią się czasy i obyczaje: dziś, pomimo licznych może wyjątków, trudnoby pojąć jak gwałtowny szturm przypuściła Włoszka do młodzieńca, którego od razu jednego wieczora wziąść chciała. Co dziwniejsza! nikomu się to nadzwyczajnem nie wydawało, choć biło w oczy szkaradnie; jedna tylko wojewodzicowa szemrała na bezwstydność. Co na ten napad poszło słów, zapytań, odpowiedzi i wejrzeń strzelistych, wejrzeń co aż do dna duszy zaglądały – wyliczyć niepodobna. Niktby się nim nie oparł, cóż dopiero młody, niedoświadczony i wcześnie przygotowany do upadku Ordyński?

Osobliwszy to był charakter kobiecy; w niej miłość i miłostki, raczej z namiętnego usposobienia niżeli z serca i potrzeby uczucia płynęły. Fantastyczna, niestała, porywcza, poświęcająca się dziś, by jutro wyrzucać ofiarę którą uczyniła, łatwo gniewliwa, gwałtowna do szaleństwa, mogłaby była znużyć najwytrwalsze przywiązanie, gdyby go nie rozdrażniała co chwila tysiącem nowych wdzięków, w które ją każdy nowy wybuch przystrajał. Ze wszystkiemi wadami wieku, z zalotnością obyczajów ówczesnych, łączyła dumę jakąś, ambicją i ogień sobie tylko właściwy.

Był to więc szatan przebrany w suknię kobiecą, rzucający ludźmi jak dziecię zabawką, stworzony na męczarnie dla siebie i drugich. Olbrzymi egoizm podnosił wszystkie jej wady do tego stopnia, na którym się one już człowiekowi nigdy błędami pokazać nie mogą. W przekonaniu swem zawsze niewinna, wiecznie była ofiarą.

W pierwszej chwili przedstawiła się Ordyńskiemu w postaci kobiety czułej i łagodnej – była to zwykła jej fizjognomia zapoznania, zdawała się nią ośmielać, by przybliżyć i pociągnąć ku sobie. Oczy jej patrzały miluchno, usta mówiły słodko, czoło oblewało się mgłą tęsknoty i pragnienia nienasyconego, ale to była tylko pierwsza maska, którą rychło zrzucała piękna Włoszka, ze zręcznością szatańską przechodząc stopniami powoli do coraz wybitniejszych rysów, w których gwałtowna namiętność, chęć władania, a często i gniew panował.

Tego wieczora, wszystkich jej dobrych znajomych uderzyła ta słodycz nadzwyczajna i powolność, któremi się dla Ordyńskiego osłoniła. Nie gniewała się że w koło niej ten i ów po polsku przemówił jak zwykle, nie wyłajała nikogo, nie wstrząsała się na każde skrzypnięcie paryzkich trzewików księcia Nestora, które było dla niej nieznośne. Rozmowa poczęła się od matki podczaszyca i Włoch o których z tęsknotą mówiła piękna ich córka, przeszli potem do Warszawy,

do dworu, do tych ogólników pod które podłożyć można wszelką myśl jaką kto chce; których obcy słuchają nierozumiejąc, a jeden tylko pojmuje prawdziwe znaczenie. Są to słowa skelety, na których rozwieszone wzrok, uśmiech, niepostrzeżony ruch i drgnienie, właściwe dają im życie.

– Pan musisz być bardzo ztęskniony za matką i ogłuszony tą wrzawą tak nową dla siebie? – spytała Lucchesini podczaszyca.

– Patrzę, słucham, dziwuję się – odpowiedział Ordyński – jestem wszystkiemu nowy.

– Zazdroszczę panu tych uczuć – rzekła Lucchesini, bo dla mnie wasza Warszawa tak już w krótkim czasie stała się znajomą i nieciekawą! Tak mi tu między wami za moją tęskno ojczyzną!

– Wątpię, by pani braknąć mogło towarzystwa i wielbicieli – dodał podczaszyc, ośmielony jej wzrokiem.

– O! niczego mi nie braknie, nawet tego sprzętu, który pan zowiesz wielbicielami, ale to wszystko tak nudne i pospolite. Ja lubię młodość, a tu i młodzi są staremi.

Podczaszyc przypomniał sobie rozmowę z Frascatellą i coś w niej do tych słów podobnego; schodziły się dwie Włoszki na jedno prawie wyrażenie, ale czy z jedną w istocie myślą?

– Najnudniejsze w świecie wiodę życie w Warszawie – dodała pani Lucchesini – mąż mój, jako dyplomata, nieustannie zajęty ledwo go raz w miesiąc w cudzym domu spotkać mi się uda, towarzystwo poufalsze mam nie wielkie, a w waszym świecie polskim, tak wszystko nieznośne po polsku!

Ta impertynencja naówczas była tak w tonie zwykłych rozmów, że uszłaby nawet w ustach każdej Polki; podczaszyc więc nie biorąc jej za złe, tylko się uśmiechnął.

– Przyznaj jednak pani – dodał – że robimy co tylko możemy, by się z naszego barbarzyństwa otrząsnąć.

– Może być, ale że waszego **wczoraj** nie znam, a **dzisiaj** nie mam z czem porównywać, ten postęp wydaje mi się jeszcze bardzo chyba niedostrzeżonym…

– Więc Warszawa nie miała szczęścia podobać się pani? – zapytał podczaszyc coraz bardziej pociągany płomienistym jej wzrokiem. – Szkoda! zawsześmy uchodzili za gościnnych, przykro nam będzie jeśli wrażenie jakie ztąd wywieziesz pani, naszym chęciom nie odpowie.

– Zresztą – poprawując się przemówiła Lucchesini – alboż wiem jeszcze jakie ztąd wrażenie wywiozę, czekam i patrzę, patrzę i czekam dotąd.

To czekam – pełnem było obietnic; zrozumiał je dobrze choć niedoświadczony Ordyński i już miał odpowiedzieć zbierając się na odwagę, gdy druga z tych pań co na niego czatowały przysunęła się do rozmawiających jeszcze śmielej, jeszcze dziwniej porywając się na podczaszyca.

Była to piękna blondynka, od lat trzech dopiero zamężna, której puder modny bardzo był do twarzy – bieluchna, świeża, rumiana, rzekłbyś, łagodna jak baranek. Jedna to była z tych mnóstwa pięknych starośnin, w które Warszawa obfitowała za Stanisława Augusta, które wszyscy kochali poczynając od króla, które malował każdy artysta, wielbił każdy młody; jedna z tych, co umiały doskonale wszystkim być miłe, nikogo nie zrażać, każdemu jakąś cząstkę nadziei wydzielając za dobre chęci.

– Podczaszycu – zawołała wpadając między niego a panią posłowę ze szczególniejszą odwagą (była mu już trochę znajomą z widzenia) – czy to prawda, jak mówią, żeś się już zakochał?

– Ja? – płoniąc się zmięszany rzekł podczaszyc – ja pani?

– Nie byłoby nic nadzwyczajnego! – przechodząc w dumny tonik przerwała Lucchesini.

– Tak jest pan, pan, przyznaj się przynajmniej szczerze, będziemy wiedziały czego się trzymać – dodała roztrzepana blondynka, rzucając okiem na posłowę z minką wiele znaczącą.

– Alem ja jeszcze nie miał czasu rozpatrzyć się w Warszawie i pomyśleć o wyborze!

– A! a! – zaśmiała się perłowemi ząbkami starościna – alboż to miłość myślisz pan sobie wybierać jak aksamit na suknię?

– Przyznam się pani, że o tem zakochaniu mojem nie wiem jeszcze.

– Bądź pan z nami szczerszy! – nalegała blondynka.

– Prawdziwie, gdybym wiedział do czego mi się pani przyznać każe!

– Ale my już wszystko a wszystko wiemy – mówiła żywo nie dając się wmięszać Włoszce starościna, a jakże nie mamy wiedzieć, kiedy się kto tak mało strzeże i po ulicach swoje tryumfy oprowadza!

– Rozumiem nareszcie – odezwał się podczaszyc, widząc, że się potrzeba stanowczo wywikłać z tych zapytań, którym, ze wszech stron badające spojrzenia towarzyszyły. Dziś rano spotkałem na ulicy tancerkę Frascatellę, musiano mnie z nią zobaczyć, i ztąd cała plotka?

– Ale czyż tylko plotka? – zapytała natarczywie blondynka. Lucchesini także wlepiła w niego czarne swe oczy z zapytaniem niemem.

– Dotąd jest to plotka nic więcej, uśmiechając się odpowiedział Ordyński, ale za dalej nie ręczę…

– Prawdziwie – przerwała starościna zaczynając się bawić wachlarzykiem – gdyby to plotką być przestało, wstydby nam było wszystkim wiele nas tu jest, żebyś też pan z tylu pięknych kobiet wyższego towarzystwa w całej Warszawie, nie umiał sobie wybrać i zszedł od razu na tancerkę! to dobre na koniec, dla Bauchera, dla podskarbiego, pan wart jesteś coś lepszego!

– A bezwstydnica! – ścinając zęby mruknęła z gniewem tłumionym Lucchesini.

Blondynka zdawała się na poruszenia posłowej nie zważać, i chwyciła podczaszyca za rękę.

– Doprawdy – rzekła – nie gniewaj się pan, ale nie chcemy byś wpadł w ręce tanecznic i śpiewaczek, nie jedna z nas gotowaby się poświęcić, by go wydrzeć z niebezpiecznych szponów drapieżnego tego zwierzątka.

– Oszalała! *mais elle est devenue folle* – w duchu mówiła Lucchesini.

Podczaszyc pomiędzy temi dwiema pięknościami stał odurzony nie wiedząc co począć, wahając się ku której miało pójść serce jego, gdy właśnie w tej chwili stanowczej nadeszła trzecia.

Sławna to była piękność i nie mniej głośna zalotnica, którą już był pierwszy jej mąż podrujnowawszy się oddał za trzykroć sto tysięcy drugiemu, wielkiemu a obojętnemu panu. Rozwód, znowu miał ją jak było słychać, uwolnić od tego związku, a w miejsce jednego, kilku już miała ubiegających się o jej rękę, wdzięki i dobra wytargowane na dwóch małżonkach.

Istotnie, piękna była jak anioł, gdyby tu tego porównania użyć się godziło, i miała ten rodzaj fizjognomji zwodniczej, pod którą rzekłbyś mieszkać powinny wszystkie cnoty i wszystek rozum tego świata. W spokojnem jej obliczu Rafaelowskiej Madonny czytałeś coś chciał, a w oczach jej ulgnąwszy można było przemarzyć lata, prześnić wieki. Cóż kiedy ta twarz tak okrutnie kłamała!

Najpospolitsza z kobiet, ledwie miała trochę poloru, który nadaje wprawa w towarzyskiem życiu, nie wiele dowcipu, nic serca, ale za to odwagę jaką ją obdarzała piękność cudna i tę pewność siebie, której nabyła widząc u swych kolan co żyło, palące ofiary. Ćmiła ona w istocie twarzą nieco wschodniego typu co się tylko najpiękniejszego ukazywało, i panowała jak królowa w tym wieńcu, którym skroń swoją zdobiła Stanisławowska Warszawa. Nie było poety, któryby jej nie śpiewał, młodzieńca i starca coby do niej nie wzdychał, a w zgromadzeniach ile było oczu, wszystkie się ku niej zwracały. Piękna ta laleczka, w takiej tylko epoce jak ówczesna tak powszechnie ubóstwianą być mogła, gdyż każde słowo z ust jej wychodzące, powoli rozczarowywało.

Ta trzecia zbliżyła się także, zdala już wzrokiem krępując przyszłego niewolnika, chciała tryumfu i była go pewną.

– Podczaszycu – odezwała się z góry – matka mi waćpana poleciła w opiekę; pięknie jej jesteś posłuszny, wszak od jej wyjazdu ani razu nie byłeś u mnie.

– A! pani! czuję żem winien – grzecznie odpowiedział zagadnięty – ale jenerał Baucher wszystkiemi krokami memi kierował, nie dał mi się ruszyć samemu, niech zaświadczy.

– I on to zapewne – dodała piękność – zrobił panu tę znajomość z tanecznicą – fe! zostaw to pan starym naszym weteranom!

Podczaszyc się zarumienił.

– Prawdziwie – rzekł – nie tylem winien, ile się zdaje.

– Waćpan – przerwała nie słuchając nawet usprawiedliwienia piękna pani – odprowadzisz mnie dziś do domu… mam mu coś od matki powiedzieć… miałam list od niej…

To rzekłszy odwróciła się majestatycznie i wiedząc że zwyciężyła, że się na nią wściekać będą, rzuciła podczaszyca na resztę wieczora pastwą swoim rywalkom, które z trudnością w uśmiechach gniew tłumiły. Lucchesini przysunęła się do starościnej szepcąc do niej żywo.

– Widziałaś pani co podobnego! kazała mu się odprowadzić! *C'est joli!*

– Bezwstydna! – podchwyciła z kolei blondynka, zżymając białemi ramionami – tak jest pewną siebie, że byle skinęła, weźmie kogo zechce! Głupi ci mężczyźni!

– Prawdziwie – z przymuszonym uśmiechem kończyła posłowa – byłby to dobry, miłosierny uczynek, gdyby jej kto podczaszyca schwycił! i figiel nieoceniony.

Spojrzały sobie w oczy – jedna myśl w nich błyskała – zamilkły bo się doskonale rozumiały. Blondynka zwróciła się żywo ku młodemu człowiekowi, znów poczynając ścigać go prześladowaniem i pół słówkami, z drugiej strony nie rzucała go Lucchesini, podczaszyc stracił głowę i oszalał. W sercu jego biły się podniecone uczucia, myśli wrzące prześladowały głowę, oczy błąkały się z jednej twarzyczki na drugą, nie wiedząc na której spocząć miały, szalał aż cierpiał.

W tem jenerał podszedł ku niemu cicho.

– Winszuję ci – rzekł zniżając głos – trzy najpiękniejsze kobiety ubiegają się o ciebie, szczęśliwy! Wszystko to potroszę winieneś Frascatelli. Chcesz mnie posłuchać, wybierz sobie na początek starościnę; ładna i dobra kobiecina choć trochę kapryśna, ale która z nich niema much w nosie? Lucchesini djabeł, popędliwa, nieznośna, a ma już posła inflantskiego, z którym byś się rozprawiać musiał. A że to poeta ciąłby cię podwójnie szpadą i piórem. Od szabli kresa zarośnie, a atrament plama niezmyta! Męża nie liczę bo to minister, myśli o traktatach nie o żonie. Wielka ta pani ma tylko kaprys do asindzieja, proszę się nie urażać, potem cię porzuci, a jegomości darmo i pycha i serce boleć będzie. Strzeż się jej, to stworzenie *sine corde!* prawda że laleczka cudna, ale co z tego? starościna także ślicznotka i jak ulał dla ciebie.

Takie to były nauki jakiemi karmiono podczaszyca, takie początki jego na tym świecie do którego wzdychał. Na ów wiek, w tem wszystkiem nie było nic dziwnego, nic bezwstydnego, bo obyczaje doszły do tego stopnia rozwiązłości, że się już wstydzić nie umiano.

II

Oddawszy karetę swoję jenerałowi, podczaszyc pod koniec wieczora podał rękę pięknej pani, która biorąc ją powiodła okiem po posłowej, starościnie i reszcie dam, ukłonem lekkim pożegnała wszystkich i powolnie w tryumfie wyszła z wybranym swoim. Jenerał się uśmiechnął rozstając się ze swoim pupilem, wykrzyknąwszy tylko:

– Ba! ba! żeby mi kto choć raz jeszcze wrócił młodość moję, ofiarowałbym się trzy całe dni pościć o chlebie i wodzie.

Że późno już dość było, powoli wszyscy się rozjeżdżać zaczęli, i starościna, która miała to w swoim charakterze, że się łatwo zrazić nie dawała, karecie swojej w ślad za pierwszą uwożącą Ordyńskiego jechać kazała, ażeby się dowodnie przekonać jak też długo podczaszyc zatrzymany zostanie u pięknej pani, która mu list od matki tłómaczyć miała. Stangreci ówcześni dobrze się na podobnych znali poleceniach, i sługa starościnej spełnił roztropnie i zręcznie jej rozkaz, a dojechawszy do pałacu w którego dziedziniec wtoczyła się kareta, przyzastanowił się z boku za pociągnięciem sznura.

Starościna nie lękając się dość ostrego powietrza, piękną swą twarzyczkę przyłożyła do wpół podniesionego okna powozu i z natężonym wzrokiem postanowiła czekać podczaszyca, który nad spodziewanie prędko ukazał się w futrze pieszo we wrotach, przyglądając się czy gdzie fiakra nie zobaczy.

– Rozpoznawszy go instynktem, starościna kazała podjechać i drzwiczki otworzyć.

– Siadaj pan – odezwała śmiejąc się.

Ordyński osłupiał.

– Pani tu, jakim przypadkiem? – zapytał.

– Żadnym przypadkiem, najumyślniej w świecie, chciałam się przekonać, jak długo państwo czytać będziecie ów list podczaszynej. Ale widzę że pana zwiedli, próżnąś tylko warte odbył, bo i bez niego bezpiecznie by była do domu zajechać mogła, niktby karety nie napadł; nie zięb-że się pan na próżno, siadaj, ja cię odwiozę.

– Ale to być nie może! ja mieszkam tak daleko!

– To być może i to być musi – odparła blondynka, ja tak chcę i każę.

Podczaszyc dał się przekonać jak dziecko, kareta zamknęła się za nim i zostali sam na sam we dwoje. Młody człowiek powoli co raz mniej dziwować się poczynał temu natarczywemu zalotnictwu pięknych pań, i śmiał się po trochę ze swego położenia.

Tymczasem dowcipna, żywa i kapryśna starościna korzystając z chwili swobodnej, usiłowała go spętać i rzucić pod piękne swe nóżki. Co tylko może dowcip, zalotność, młodość, wdzięk i szał zazdrości, wszystkiego użyła, by jutro do niej powrócić zapragnął i zapisał się jawnie w poczet jej wielbicieli; nie tyle jej może szło o zdobycz samą, co o rozgłos który mieć mogła, o tryumf nad ową pięknością i czarnemi oczyma Lucchesiniowej, których pochwały srodze ją niecierpliwiły – miała bowiem śliczne niebieskie!

Anusia, Frascatella, Lucchesini i ostatnia nawet majestatyczna piękność, wszystko się zatarło wśród tej przejażdżki, która trwając krótko znaczyła tak wiele, że podczaszyc wysiadając i całując rączkę ściskającej dłoń jego blondynki, uczuł się związanym nieodwołanie.

– Jutro na obiad do mnie – szepnęła mu po cichu – wieczorem razem pojedziemy do pani Opeckiej, będziesz mi pan służył za *cavaliere servente*. Słyszysz pan? proszę go o to i nie chcę być zawiedzioną! Jutro cały dzień panu zabieram, caluteńki!

– Pilno mi świtu i jutro doczekać! – odpowiedział Ordyński rozmiłowany i pałający. Nie chybię, chybabym umarł z nadziei!

– A! na Boga nie umierajże mi pan – odpowiedziała starościna. – Z nadziei niema zwyczaju umierać, a ja chcę byś żył dla mnie! – dodała po cichu ściskając go raz jeszcze ręką drżącą – do jutra, do jutra!

Kareta szybko się od wrót zawróciła, a Ordyński pozostał jeszcze jak przybity do miejsca, nie wiedząc co się z nim działo, gdy uczuł lekkie ręki ściśnienie i po księżycu ujrzał djabelskie oblicze cavaliere Fotofero, kłaniającego mu się z uśmiechem powinszowania i wymuszonej grzeczności.

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale się już podczaszyc z temi rysami co go tak przerażały w początku, oswoił, i nie doznał teraz, może w skutek unoszącego uczucia, bolesnego, przykrego wrażenia jakie na nim ta twarz czyniła gdy ją pierwszych razy kilka zobaczył. Zdziwił się trochę, wzdrygnął, bo po ślicznych kobiecych twarzyczkach trzech piękności, ujrzeć takich rysów nie można było bez wstrętu, ale zniósł to jakoś wesoło. Świat mu się uśmiechał i djabeł – nie wydał tak czarnym. Cavaliere Fotofero patrzał mu w oczy i kiwał głową.

– A widzisz pan – mówił – że i z moją szpetną twarzą oswoić się przecie można, już w panu nie widzę dziś tego wstrętu co wprzódy i winszuję, że się powoli otrząsasz z dziecinnych przywidzeń! Łupina może być czarna, a orzech smaczny – dodał axiomatycznie.

Podczaszyc uśmiechnął się sam nie wiedząc dla czego, ale serce mu się śmiało.

– Ślicznie, wesoło, po młodemu, poczynasz pan życie – rzekł Fotofero – ot tak to lubię! Frascatella, Lucchesini… ta pani starościna… jest w czem wybierać! Zresztą, po co wybierać kiedy wszystko zagarnąć można.

I rozśmiał się znowu osobliwszym jakimś śmiechem, który jakkolwiek cichy, zdawał się po pustych daleko rozlegać ulicach i rozlatywać w powietrzu powtarzany ech tysiącem.

Ordyński nie uchodził, sam sobie wyrzucał swój strach dawniejszy i dawał mówić Włochowi, słuchając go z zajęciem. Zdziwiło go tylko, że tak doskonale o najświeższych wiedział wypadkach.

– Cóż to? pan chyba każdy krok mój śledzić musisz? wiesz tak dobrze wszystko.

– Wszyściuteńko – odparł Fotofero mrugając wypukłemi oczyma – a później jeszcze przekonasz się pan że i na wiele przydać się mogę, osobliwie jak pan młodemu… Panu brak doświadczenia: Poinsot nie znał obyczajów naszych, jenerał myśli tylko gdzie co zjeść, zostawiony jesteś własnym siłom, serdecznie mi cię żal podczaszycu i gdybyś chciał doprawdy… ale widzę że się już marszczyć zaczynasz.

– Ja i owszem, słucham z wdzięcznością!

– Słuchasz a nie ufasz.

– Czemuż bym miał od nieufności zaczynać?

– Powtarzam, mógłbym się przydać bardzo.

– Wszak i pan tu jesteś obcym.

– Ja? ja nigdzie obcym nie jestem, obywatel świata, wszędzie jestem jak u siebie. Warszawę znam od pewnego czasu, i wyznaję że mi się teraz wcale podobać zaczyna. Jest to stolica po mojej myśli. Grają grubo, szaleją, piją, hulają, kochają się – ja to lubię, potrzeba życia używać.

Podczaszyc spojrzał z ukosa na dziwnego towarzysza z jakąś niedowierzającą miną, obawiał się czy nie żartuje.

– Panu nic nie brak, byś tu wielkie miał powodzenie – kończył cavaliere – jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany, bogaty i dobrego imienia; lubił bym być w pańskiej skórze. Tylko mi się pan nie złap na jaką długą sentymentalną miłość, to wycieńcza i ogłupia… O Anusi spodziewam się żeś pan zapomniał – podszepnął w końcu.

– Co? o jakiej? – zdziwiony coraz bardziej, zapytał, cofając się prawie z przerażeniem podczaszyc.

– Zapomniałeś pan, że ja doskonale i oddawna znam Głuszę, łatwo bardzo domyśleć się mogłem co się tam święciło między Anusią a panem.

– Ale nic! nic! to przywidzenie! smutnie jakoś przerwał Ordyński z westchnieniem mimowolnem ku Głuszy, które go zachmurzyło.

– Niech nie będzie, to lepiej – odparł cavaliere; Frascatella także dziwaczna, nie dla pana wcale, mówią nawet że poczciwa, to jest głupia, nie ma tam po co chodzić… Z tych pań będziesz sobie brał po kolei jaką zamyślisz, to rzecz nie trudna – jak grzyby z koszyka… Dobra noc, dobra noc.

Rozśmiał się znów po swojemu, aż podczaszyc się wzdrygnął, ukłonił nisko i zniknął tak szybko, że Ordyński nie mógł nawet dostrzedz, w którą uszedł stronę.

III

My się na chwilę teraz przenieśmy do pustej Głuszy, w której od śmierci staruszki ciężki osiadł smutek i pustka grobowa. Odjazd Michała, nagły prawie zgon starościny, osierociły piękny pałac i zawczasu dozwoliły pająkom snuć nici zapowiadające długie ich panowanie. Ten niedawno jeszcze tak świetny dwór, milczał teraz z pozamykanemi okienicami i drzwiami, stojąc jak zaklęte zamczysko. Kilku pozostałych sług rzadko przesunęli się od oficyn, w pałacu nikt nie mieszkał, a stary Sieniński nie miał serca zajrzeć do pokojów od czasu pogrzebu starościnej.

– Podczaszyna nie powróci, kto wie co będzie z naszym paniczem – pustką to zostanie jak tyle innych gmachów u nas – aż się serce kraje, nie chciałby człek na to i patrzeć. Pan Bóg mnie pokarał za Francuzów, widać żem ich tyle naklął, licho ich wzięło, ale i nam przeto nie lepiej! – mówił stary.

Obchodził on raz w dzień z obowiązku powierzone mu drzwi, dawał klucze do środka zaufanym, ale sam ni razu we wnętrzu nogą nie postał, tak mu serce bolało patrząc na tę śmierć powolną miejsc do których się tak przywiązał. Powoli i on też coraz martwiał, milknął, posępniał i zamierał. I nie było nikogo co by go odżywił. Anusia w żałobnej sukni chodziła po starościnie, w żałobnych myślach po podczaszycu – tęsknota z niepokojem dręczyła ją razem. Siadali z ojcem i wzdychali oboje, rzadko słowem odezwało się które by poskarzyć.

Ojcu żal było więdnącej córki, córce ojca i kogoś jeszcze. Dnie szły na ślimaku nudne i posępne: budzili się bez ochoty do życia, zasypiali w trwogach i nudzie. Stary ksiądz kanonik rzadko zawitał do Głuszy, bo mu wiek wycieczek dalszych nie pozwalał; zresztą Sieniński mało miał przyjaciół, nie żył z nikim prawie, a że był skąpy, nie bardzo kto się do niego pokwapił. Wabiły by młodzież piękne oczy Anusi, ale coś przebąkiwano o niej różnie, ludzie dopatrzyli się byli szeptów z paniczem i roznieśli je na językach; inni mieli ją za wielką panią, że się przy starościnie i podczaszynie wychowała, ostatnich wreszcie smutek i obojętność odstręczały.

Dość, że po opuszczeniu Głuszy zostało ich dwoje na tych ruinach, tak samotnych jak dwa na starym dębie puszczyki.

Raz na dzień w południe, a i to nie bez wewnętrznego drżenia, szła Anusia do pokojów zmarłej starościnej z Agatką, bo tam jeszcze po niej sprzęt, oprócz tego co komu oddać przeznaczyła, nienaruszony pozostał. Tu klękała przed ołtarzykiem i mówiła Anioł Pański za jej duszę, a ile razy przeszła pokoje osierocone, gorzko zapłakała po umarłej. Smutne to były te izdebki w których jeszcze tyle śladów ubiegłego pozostawało życia, a nic go już obudzić nie mogło. W pośrodku krzesło staruszki, jej stół okrągły okryty makatą, wielka księga pełna obrazków, na których ręką nieboszczki pozapisywane były prośby o modlitwy za jej duszę; jej wazoniki na oknie powiędłe, na posadzce ścieżka wydeptana krokami zawsze w jednym kierunku wiodącemi ją do starych sprzętów, od łóżka do krzesła, od krzesła do kantorka i ołtarzyka. Tu i ówdzie drobne ale przejmujące wyrazem pamiąteczki. Palma zatknięta za źwierciadło, kartka za obrazem przypięta dla odżegnania chmury, talia kart polskich jej ręką związana, stare jej okulary, wytarta poduszka i zegar gdański, co w godzinę jej śmierci stanął znużony, niechcąc iść więcej dla obcych.

Anusia karmiła się chwilę tą żałobą wymowną, popłakała i odchodziła ze spuszczoną głową, ze smutkiem w rozżalonej duszy, powtarzając biedna:

– Nigdy! nigdy to już nie wróci!

I we dwoje potem zasiadali z ojcem w pokoiku drugiej przeciwległej oficyny, na całe dni westchnień i milczenia.

– Jak się to przeraźliwie długie wyda życie, mój Boże – mówiła w duszy Anusia – jak tęskne, w jedno okno patrzeć zawsze i nic w niem nie widzieć, słuchać szumu wiatru i bicia własnego serca, liczyć żółwie godziny i drzemać pół snem nim się zaśnie na wieki.

Staremu choć się równie serce ściskało, inny jednak skutek wywarła na nim samotność: dziewczę dręczyło się, niecierpliwiło, egzaltowało, on drętwiał, posępniał, zamierał. Raz w dzień

przeszedł do koła, podzwonił kluczami, powrócił, usiadł, wziął książkę nabożną i drzemał – popatrzał na Anusię, powzdychał i usypiał. Anna widząc to, oblewała łzami i swój los i ojca; w niej młodość z głębi serca dobywała życie, on już o swej sile żyć nie mógł, potrzebował a brakło mu podsycenia. Czasem próbowała go ocucić wspomnieniem, piosenką, pytaniem, powieścią, ale napróżno – starzec podnosił głowę, popatrzał, odezwał się krótko, i jeśli się rozgadał, to jakby z rozdrażnioną gorzej odchodził tęsknotą, a po niej szybciej obumierał jeszcze. Anusia dobierała sposobów i nie znalazła żadnego na wlanie mu życia, które uciekało jak płyn z rozbitego naczynia.

Niekiedy myśl śmierci błyskawicą przerżnęła ponure jej dumy i drżała. Na całym, całym Bożym świecie nikogo – ona sama, jedna, bez opieki, bez podpory, a w sercu jeszcze taka miłość dziwna, co życie struć musi i spalić!

Myśli, modlitwa, podnowiły ją na duchu, lub czyniły coraz nieszczęśliwszą; jak chory oddawała się na przemian śmiesznej nadziei lub najostateczniejszej rozpaczy. Ale łzy co raz stawały się częstsze, choć starzec ich nie widział.

Długie wieczory jesienne i zimowe słuchając podedrzwiami, nicbyś tam nie usłyszał, prócz wolnego oddechu drzemiącego Sienińskiego i westchnień dziewczyny, która modliła się lub tęskniła. A myśl jej to biegła za straconą opiekunką, to za podczaszycem, który ją porzucił uśmiechnięty, lecąc w tę otchłań, o jakiej Anusia z opowiadań najstraszliwsze miała pojęcie. Powieści sług, plotki krążące po dworze, domyślać się jej dozwalały w jaki wrzątek wpadł Michał, i co mu tam groziło; – ale jak go było ratować?

Poinsot, któremu powierzony był w opiekę, dobrze był wszystkim znany. Anusia wiedziała że opieka jego obronić nie może, raczej popchnie ku zgubie, byleby z niej Francuz mógł co skorzystać.

I znowu łzy płynęły bezsilne.

Tak w myślach, łzach i żałobnej modlitwie za starościnę, Anusia dnie spędzała, a na jej twarzy znać już było jak wiele przeżyła od czasu śmierci i wyjazdu. Zbladła, wychudła, a dawny uśmiech rzadko zawitał na usta i to ze łzą splątany; wzrok tylko jeszcze płonął tą siłą serca, której nic dotąd odebrać jej nie mogło.

Jednego wieczora jakoś potrafiła dłużej ojca od snu wstrzymać rozmową i poczęła go rozpytywać, czyby gdzie krewnych nie miał, sądząc, że go jakim wspomnieniem orzeźwi.

– Kto to ubogiemu krewny? – rzekł biedząc się jak miał zwyczaj stary Sieniński – at! niechnoby po sukcessją, znalazłoby się powinowatych na fury.

– Wszakże to siostra mojej matki mieszka o mil kilkanaście, i tej nigdym nie widziała.

– Ba! bo się to lepiej od nas ma, a poco by miała charłaków odwiedzać; poszła za dzierżawcę, teraz już słyszę drugą wioskę kupują.

– Ale twoi krewni, mój ojcze – spytała Anusia – wszakżeś miał podobno brata, wspominałeś mi dawniej o nim.

– Brat ci to jest jeśli nie umarł – rzekł obojętnie dość, stary.

– Gdzież on mieszka? – spytała dziewczyna.

– Mieszkał to on w Warszawie i miał tam swój dworek na Bednarskiej ulicy, ale nie wiem co się z nim teraz dzieje od lat trzech, bo mi znaku życia nie dał.

– Żonaty?

– Nie był żonaty, chybaby to głupstwo zrobił na starość – odparł mrucząc niechętnie dość, Sieniński – żył sobie kawalersko, służył po panach, uciułał grosza dobrego i teraz osiadł na dewocji w stolicy, bo taki przywykł był do ludzi i hałasu.

– Musi być stary? – pytała ciągle Anusia.

– O! pewnie, blizko dziesiątkiem lat odemnie starszy, a i ja nie młody. – Westchnął.

– A czemużbyśmy się nie dowiedzieli o niego – podszepnęło dziewczę – ot, on by tam mógł kiedy nam co oznajmić o podczaszycu, a tak nigdy nic o nim wiedzieć nie będziemy. On by może popilnował z daleka i w złym razie poratował.

Stary się uśmiechnął.

– Nie nam to, rzekł, takich panów pilnować i ratować, a co my im pomódz możemy? czy to tam jeszcze źle? musi hulać po Warszawie całą gębą. Labuś mu pewnie myśli nie przykróci, bo i to cymes. Żeby tylko jak dziad nieboszczyk fortuny z wiatrem nie puścił, bo coś go się grosz nie trzyma.

– A! to miasto – dodała Anna – w którym i miliony stracić łatwo.

– Oj! oj! – rzekł stary – albo ich nie tracą byle ochota, karty kartami, hulka hulką, a też piękne panie mało grosza wyprowadzą?

Anusię zimno przejęło.

– Przyznam ci się ojcze, że się o niego śmiertelnie obawiam.

– Ja się już bać przestałem – rzekł stary – bom pewny jak że żyję, że go już nie zobaczym, tak jak kamień w studnię, szukajże go na dnie.

Stary westchnął, pomilczał, głowę spuścił na piersi i powoli usypiać zaczął, Anusi gorące łzy puściły się z oczów, wstała i rzuciła się szlochając na kolana przed obrazem.

– O mój Boże – zawołała składając ręce z zapałem – nie daj mu ginąć w skalaniu i grzechu, uratuj go dopóki nie zgubi duszy, ocal go, jeśli nie dla zasług jego, to przez cnoty tej świętej staruszki, która się tam modli za niego!

Ledwie po północku niepokój dał jej usnąć. A we śnie zdało się jej, że klęczała u nóg starościnej, w jej pokoju – na dworze była znów wiosna zielona i słońce złocistemi migało promieniami, kanarek śpiewał w klatce w zawody ze słowikiem na bzowym krzaku – starościna modliła się z twarzą pogodną, odwróciła się uśmiechnięta weselem nie ziemnskiem ku biednej Anusi.

– Nie płacz – rzekła cichym, bardzo cichym głosem – nie płacz dziecię moje, i nie bój się niczego, ty jedna wyratować go możesz, i ty go uratujesz.

– Ja? droga pani, a jakżebym to mogła uczynić? spytało dziewcze – dałabym chętnie życie, lecz na cóż się ono przyda?

– Nie trzeba życia twojego, dość będzie trochę serca, pracy i odwagi. Ty musisz ztąd wygnać się do Warszawy, by go z odmętu wyciągnąć. Ja za was oboje modlić się będę i obojgu pomagać.

Ledwie tych słów, których z uwagą rozczulona słuchała Anusia, dokończyła staruszka, jasne jej oblicze rozpłynęło się w promieniu słonecznym, zdawała się mienić w przejrzystą mgłę jasną, ulatywać, oddalać i niknąć; pokój pociemniał, osmutniał, Anna ujrzała go nie jakim był wprzód, ale jakim go co dzień widywała – pustką grobową. Zima przysunęła się pod okno i śpiewy ucichły. Dziewcze zbudziło się, myśl mając pełną snu tego, który jej utkwił w pamięci, jak rozkaz z niebios zesłany. Nie zmrużyła już oczów i wstała raniej niż zwykle. Ale jak ojcu powiedzieć co tylko snem było, jak u niego wyjednać pozwolenie wyjazdu i pociągnąć go za sobą?

Anusia wahała się, dzień za dniem uchodził, co chwila wrażenie snu się zacierało, niepodobieństwo stawało w oczach wyraźniej – zamilkła wreszcie, myśląc że to było marzenie chorego serca, nie głos z nieba, co ją za nim w pogoń wysyłał.

– Cóżbym ja tam poczęła – mówiła w duchu łamiąc się z pragnieniem i strachem – ja biedna, słaba, sama jedna! jak go wyrwać z tych niebezpieczeństw, jak od nich zasłonić? Gdzie siły i męztwo po temu?

I sen ów rozniosły dumy na skrzydłach szarych, a Anusia znowu płakała niespokojna.

I jednej nocy gdy po łzach usnęła, ujrzała się powtórnie w pokoju starościnej rozwidnionym wiosną, staruszka siedziała przed nią w swem krześle z twarzą pogodną ale surowszą.

– Ty płaczesz jeszcze dziecko moje, odezwała się do niej, a nie chcesz posłuchać głosu mego… ty jedna przecie uratować go możesz. Przeżegnaj się krzyżem Pańskim, pójdzie za tobą Anioł stróż i modlitwy moje – a śmiało w imię Boże!

I cień znikł znowu rozpływając się w obłoku, ujrzała go jak ulatywał pod niebiosa, jak w nie jasnemi wchodził wrotami. Ale jeszcze wahała się Anusia, w kilka tygodni sen się powtórzył raz trzeci. Uzbrojona więc odwagą nową, Anna wstała postanawiając wszystko uczynić co można, by do Warszawy się dostać.

– Będę – mówiła w duchu – ścigać go okiem niepostrzeżona, zakryta, śledzić, upatrywać, a uchowaj Boże nieszczęścia, może potrafię go ratować, przychodząc z umarłej przestrogą, z pomocą drobną ale serdeczną. O! gdybym go potrafiła wyrwać ze szponów tych ludzi co go już otoczyć musieli!! Nie! on nie zginie, ja nie dam mu rzucić się w przepaść. A potem, wstąpię do klasztoru i spokojna o niego, modlić się będę i płakać po nim do śmierci – bo nikt, nikt go tak kochać nie będzie!

Ale jak było ojca nakłonić, jak pociągnąć za sobą starego, co z krzesła ledwie się chciał dźwignąć, resztę życia uprzykrzonego snem zbywając?

Anusia nie mało sobie nałamała głowy od czego tu zacząć, ale westchnąwszy do Boga i rozdobruchawszy wprzód ojca, jednego wieczora, zagadła go z nienacka.

– Mój kochany ojcze, jakby to dobrze było i wesoło, żebyśmy pojechali odwiedzić stryja w Warszawie. Przyznam ci się że mi tu trochę nudno, a i ty się nie bawisz. Wszak by to nieźle było, nieprawdaż?

Sieniński popatrzał wielkiemi oczyma i przeżegnał się w milczeniu.

– A co tobie w głowie? – zapytał – toś ty widzę oszalała, zachciewa ci się podróży. Czy to ty podczaszyna czy podczaszanka? Dobrze nam tu cudzy chleb jeść, warzone i pieczone nie rozwiązując worka, to siedźmy i nie dziwaczmy. Jeszczeby czego nie stało, żebym i ja z tobą oszalał i zakasawszy poły ruszył do Warszawy.

Anusia zamilkła, spodziewała się tego, ale myśl była rzucona, reszta zależała od Boga,… okoliczności… powolnego przekonania. Nie zrażało ją wcale oburzenie starego, który syczał, gderał i drwił z córki dopóki nie usnął.

Nazajutrz Anusia swoje.

– Śmiałeś się tatku ze mnie – zawołała – i może miałeś powody, ale doprawdy nie tak to ja głupio mówiłam. Ot, wy się tu postarzejecie przed czasem, tam byście się rozruszali, ożyli, przypomnieli lepsze czasy. A co się tycze kosztu – juściżby nam tam brat kawałka chleba nie pożałował, a tutejsza pensyjka i ordynarja gracjalisty, zaoszczędziłaby się, byłby to czysty zysk.

Sieniński pokręcił głową.

– A jaki z niej filut – rzekł – no! no! już mi się wyrachowała z czystym zyskiem. A któż ci powiedział, że brat nie pożałuje, to skąpiec jakiego świat nie widział.

– Stary kawaler, bezdzietny, choć oszczędny, dla swoich nie poskąpi pewnie.

– Jak to nie? czemu nie? poskąpi, bo mu miło skąpić – racji nie pytaj. Darmoby może jaki tydzień pokarmił, a dalej skwaśniałaby nam strawa od humoru gospodarza.

– Ja nie sądzę – odpowiedziała Anusia – albo to taka jak ja gosposia, na nicby mu się nie przydała? toćbym za nasz chleb odpracowała; wprowadziłabym mu ład, oszczędność, gospodarstwo.

– Ot, jakto znać że asanna mego brata nie znasz; a jemu to na co? czy to myślisz że on gospodaruje? – Wiemci ja sam i od ludzi jak żyje. Kupi zrana bułeczkę za trzy grosze i mleka za dwa, to ma śniadanie, na obiad pójdzie, za osiem groszy flaków spakuje i syt – w spiżarni mu szczury gospodarują…

Anusia pokiwała główką, źle się jej wiodło, ale nie zrozpaczyła.

– Choćby i tak – rzekła – albo to mu nie rozweselim samotności, wszakże to coś warto?

– Albo to w mieście może kto być samotny, jemu spokój potrzebniejszy moje dziecko – mało mu tam nahuczą pod oknami, a zechce ludzi, to tylko na ulicę wyjść.

– Toć kogoś kochać potrzebuje, a niema.

– A! a! – zaśmiał się stary – a siebież on nie kocha za wszystkich?? i szkatułkę drugą?

Anusia dała pokój, czekała trzeciego wieczora, a gdy zmierzchało, póki stary się nie zdrzemnął, znów rozpoczęła o Warszawie.

Sieniński już splunął.

– I co to znowu, czy już temu końca nie będzie? – zapytał – a toć się widzę uwzięła bzdurstwem mi głowę męcić?

– Daruj tatku, ale wiesz, że kobiecie jak się czego zechce…

– To aż kańczugiem wypędzać trzeba ochotę.

– Tego się ja nie boję – uśmiechnęła się Anusia – wyszliśmy z tych czasów, kiedy bić było potrzeba, ja już nie dziecko.

– A ja sił w ręku nie mam! – westchnął starzec.

– Ale doprawdy – dokończyła córka – ja się nie wyrzekam tej myśli, żeby jechać do Warszawy.

– Boję się żebyś na tem nie sfiksowała – mruknął Sieniński – co ci to jest?

– Zważ tylko ojcze, jakbyś ty się tam przydał podczaszycowi: tam go obsiedli oszusty, próżniacy, darmozjady, karciarze – sam w nim przeczuwasz żyłkę do utraciuszostwa, strzeż Boże, przyplącze się co gorszego? Czybyśmy naówczas przydać mu się nie mogli?

– My? albo to nas posłucha?

– Ciebie ojcze? czemuż nie, pewna jestem bo cię zawsze kochał.

– A i ja go kocham, tożem go na ręku wypiastował! – mruknął z westchnieniem stary.

– Widzisz ojcze, westchnąłeś, żal ci go, a poratować nie chcesz?

– Nie chcę!! ja nie chcę? Radbym z duszy, ale co może taki jak ja człowiek, zestarzały i bezsilny?

– Przy pomocy Bożej, wiele – żywo odparła Anusia, widząc, że nareszcie trafiła na czułą stronę – jestem pewna, że tybyś mu wiele pomógł? że tybyś go ocalił!

Stary się głęboko zamyślił.

– Dajmy temu pokój – rzekł – to nad siły nasze, porwiemy się, nie podołamy, śmiechu tylko narobim a sami zginiemy – nie krwaw mi serca.

I zamilkł. – Teraz już pewną była Anusia, że potrafi dopiąć swego; odkryła w nim bowiem prawie niespodzianie, przywiązanie do podczaszyca, i wiedziała już w co bić może. Nie dała więc staremu pokoju ani na chwilę, wymógłszy naprzód obietnicę zastanowienia się nad tym, później pół-przyrzeczenia, potem słowo że pojadą, nareszcie naznaczenie nawet dnia wyjazdu.

Cudem to było prawie, takiej tam cierpliwości potrzebowała, takiego wytrwania, uporu, by starca przywykłego już do spoczynku i rozmiłowanego w próżnowaniu, wyciągnąć z kątka, który polubił, z którego się przez lat kilkadziesiąt nie ruszył. Naprzód tedy zebrał się stary napisać do brata do Warszawy, rad bardzo w duchu, że trzeba będzie na odpowiedź czekać; ale rychło jakoś uwinęły się poczty i list odebrał, któryby może zataił, gdyby nie szedł na ręce Anny. Brat nie zapraszał go bardzo, ale też nie odpychał, owszem ofiarował dwie izby w dworku komornem, to jest za zapłatę, ciesząc się że będzie miał z kim wieczorem pograć w warcaby i posiedzieć przy świecy nie płacąc za nią. Wcześnie też zamówił sobie stół u Sienińskiego, i widać było z pisma że w rachunku musiał się bardzo pilnować. Serca tam było niewiele, ale trudnoż go się było spodziewać od nieznajomego. Anusia czytając list, bo okulary ojca jakoś się były zawieruszyły tak że ich wyszukać nie mógł, umiała w nim wyczytać co chciała, a ominąć co się jej zdawało niebardzo potrzebne. Sienińskiemu zaczęła się coś podróż uśmiechać, i nazajutrz poszedł opatrzyć stary swój wózek, najmować konie u żydka arendarza, myśleć o zapasach na drogę.

Przygotowania te trwały ze dwa tygodnie, gdyż im bliższy był dzień wyjazdu, tem stary więcej wynajdywał trudności, a na ostatku co tylko miał chciał zabierać z sobą. Ledwie go Anusia nakłonić potrafiła, by zostawił rupiecie, a co pilniejsze tylko wziął z sobą. Potem znów żyd nie był gotów, wózek rozeschły wymagał naprawy, i nie rychło się wybrali.

W dzień wyjazdu, Anusia poszła raz jeszcze do pokoju staruszki, aby ją modlitwą za jej duszę pożegnać, klękła we łzach u krzesła, złożyła ręce i gorąco poczęła wzywać Boga na pomoc, bo jej odwagi znów brakło.

Ale już nie czas cofać się było: podniosła oczy, wstała i przechadzając się po pokojach starościnej kilka razy chciała każdy kątek pożegnać, niespodziewając się powrócić. Wszystko dla niej pełnem było wspomnień z tych nieocenionych lat dzieciństwa, które są tak drogie gdy miną!

Zaglądała wszędzie, całowała sprzęty, na nie jeden łza upadła, nie było kryjówki, kącika do którychby nie zajrzała, a w każdym, bodaj garstka pyłu, bodaj odrobina ziarna dla ptaszków, zeschłe kwiecie, papier zmięty, ręką staruszki zapisany, do łez ją rozrzewniały.

W ścienie była szafeczka w której starościna zwykle trzymała łakocie dla dzieci, to jest dla Michasia i Anny; ztamtąd to przychodziły gruszki, śliwki suszone, latem owoce lub cukierki. Annie chciało się raz jeszcze zajrzeć do tej pamiętnej szafeczki, do której nikt może nie zaglądał od śmierci starościnej. Jak-że się zdziwiła ujrzawszy na półce wśród pudełek nietkniętych, w których myszki gospodarowały w resztkach słodyczy – papier jakiś zapisany.

Chwyciła go z trwogą – i krzyknęła, widząc swe imię na wierzchu ręką staruszki napisane. – **Dla Anusi Sienińskiej mojej poczciwej wychowanki. Niech ją Bóg błogosławi.**

Z początku ze łzami, z bijącem sercem nie mogła nic prócz słów tych wyczytać, w ostatku otworzyła pismo i znalazła w nim maleńki krzyżyk i błogosławieństwo.

Idziesz w świat moja Anno – pisała starościna – idźże z krzyżem świętym i mojem błogosławieństwem. Niech go ci Bóg udzieli i Matka Jego na każdym kroku ciężkiej drogi życia. Śmiało z niem dziecko moje, a wyjdziesz cało i zwycięzko; ja się za ciebie modlić będę i z góry strzedz ciebie. Niech cię Bóg prowadzi w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Tych kilka słów zdawały się skreślone jakby z przeczuciem chwili, w których Anna znaleźć i przeczytać je miała – pokrzepiły ją i dodały odwagi. Ucałowawszy, schowała drogą tę pamiątkę i weselsza ochoczo zbiegła do ojca.

Pożegnanie z Głuszą było smutne i długie, popłakali się ludzie, stary rozszlochał na dobre. Anusia nieprzytomna prawie siadła na wózek, i żydek popisując się końmi najętemi, w galop ruszył z brukowanego dziedzińca.

Popędziły konięta lecąc z kopyta jak ludzkie uczucia, które z miejsca czwałem się ruszą, a po chwili z kłusa w stęp, ze stępa w spoczynek przechodzą. Stary Sieniński z łez przeszedł do gderania, jak się to zwykle dzieje. Anusia znowu płakała, a Abramko wiokał, cmokał, popędzał, i wkrótce pałac i dworskie budowle znikły im z oczów, a szeroki świat straszny, wielki, rozwinął się przed niemi milczący, posępnemi obszary otaczając podróżnych.

IV

Rok z okładem minął od czasu jakeśmy rzucili podczaszyca rozpoczynającego życie nowe w Warszawie, a rok ten mignął mu szybko niepostrzeżony, lecz jakże wielkie sprowadził zmiany. Często z człowiekiem dzieje się jak z owym bajecznym kameleonem – włóż go w chustkę białą, pobieleje, posadź wśród zielonych liści, zielonym się stanie, czarna go ziemia poczerni. Tak i tu było właśnie: podczaszyc wziął na siebie barwę wieku i miejsca, z największą łatwością zastosowując się do rozwiązłego a miłego towarzystwa które go otoczyło.

Szybkim krokiem szedł po drodze powodzeń światowych, coraz głębiej w zepsucie, wziętość i sławę jakiej się chciał dorobić. Chwycił się był i porzucił kilka kobiet wyższego towarzystwa od starościnej począwszy która go odżałować niemogąc, a ustąpić zmuszona, próżno starała się jeszcze odzyskać. Wszystkie namiętności śpiące dotąd, bujnie rozwinęły się w Ordyńskim, bo nikt ich nie hamował – bawił się, kochał jak kochano w XVIII wieku, grał szalenie i szalenie tracił.

Labe Poinsot przez Ryxa, któremu skuteczne dał lekarstwo na różę w nogach, na którą nieustannie cierpiał starosta Piaseczyński, potrafiwszy sobie wyrobić miejsce przy dworze królewskim, wpół roku opuścił Ordyńskiego, mając go za dostatecznie przygotowanego do wyjścia na świat o własnych siłach. Michał korzystając z większej jeszcze swobody, ze stosunków które porobił, przykładem innych jął się naprzód postawienia domu swego na stopie odpowiedniej. Nie zważał wcale na koszta jakie to za sobą pociągnąć miało, sądząc jak wszyscy bogaci młodzi ludzie, że pieniądz wyczerpać się nie może.

Naprzód więc nabył kamienicę na Krakowskiem przedmieściu chcąc być w pośrodku miasta, a Zugh i Merlini przerobili mu ją na gustowny pałacyk z ogrodem, w którym nie brak było ani mostków na suchym rowie, ani grot z przywiezionych zdala kamieni, ani nawet wodotrysku zasilanego kilką wiadrami wody wiślanej. Cuda te ogromnie kosztowały; zachciało się jeszcze podczaszycowi w kątku mieć ogródek z drzew karlich i zabawkę podobną ulubionej księciu ex-podkomorzemu, który maleństwami się otaczał, i to także urządził na podziw szczęśliwie.

Z pośpiechem przysposobiono mu dom, stajnie, oficyny, wszystko co do wygody posłużyć mogło. Poprowadziła za sobą ta zmiana nowy skład dworu, pomnożenie sług i wydatków, ale Ordyński brnął śmiało: przyjął kucharza Francuza, uzapasił piwnicę, ściągnął konie wierzchowe, sprawił cug tarantów przepyszny, kupił karykl modny, przyjął murzyna, ustroił janczara i zaczął żyć co się zowie po pańsku.

Wszyscy smakowi jego, wykwintności i inwencji poklaskiwali, nikt wstrzymać nie myślał, sądząc że go na to staje. Dom podczaszyca stał się wprędce jednym z tych, do których zbierała się młodzież najświetniejsza, nawet książę Józef kilka razy zaszczycił go odwiedzinami wieczornemi.

Rzadki był dzień żeby nie oświecono pałacyku i nie spodziewano się gości; stoły gry nie próżnowały nigdy, hulanki nieraz przeciągały się do dnia białego. Ordyński uprzejmy, miły, uśmiechnięty, dowcipny, używał dotąd młodości nie spotkawszy na swej drodze ani zawodu, ani przykrości, ani chmurki… każde jego życzenie spełniało się czarodziejsko i zdało mu się, że to co ludzie zwykli pleść o nieszczęściach, przeciwnościach, boleściach, i t. p. pochodzić musiało ze złego humoru i dziwactwa; słowem nie pojmował, by komu gorzej od niego być mogło.

Aż lubo było spojrzeć na tę fizjognomią rozjaśnioną, promienistą i zupełnie szczęśliwą. Wprawdzie rok ten znacznie ostudził młodzieńca, zobojętnił go, odmienił, ale nie było w nim ani jednej burzy któraby jasne dni słoneczne zciemniła, choć nie było i pragnień namiętnych – spokojnie używał z zaufaniem w swoim losie.

Z dziecka nagle prawie stał się dojrzałym człowiekiem, tak szybko przeskoczył w gorączkowym życiu kres co przedziela dzieciństwo od męskiego wieku, pożerając całą młodość w kilkunastu miesiącach. Młodość nie jest-li to wszystkiego nadzieja i pragnienie? nie jest-li to jasno-widzenie świata w idealnej szacie, miotanie się ku niemu z otwartemi rękami i gotowość do boleści, do ofiary,

do wszystkiego co czuć daje życie? Starość nie jest-li utratą nadziei i pragnień? Michał nie przestał jeszcze pragnąć i używać, ale nadto się zbliżył do świata, by go mógł inaczej widzieć jak czarno i zimno-rzeczywistym. Był to już człowiek chłodny głową i sercem, temperamentem namiętny, a świat pojmujący tak pospolitym, czczym i brudnym, że strach było go posłuchać, żal na niego spojrzeć. Dziwną sprzeczność stanowiła jego młodość rzeczywista, z tem sztucznem zestarzeniem i zużyciem serca i głowy.

Dwóch nieodstępnych przyjaciół szli z nim krok w krok. Jenerał który przywiązał się do niego, bo nigdzie łatwiej jeść, pić i pożyczać nie mógł, i cavaliere Fotofero, który zawsze potajemnie widywał się z podczaszycem coraz większą otrzymując nad umysłem jego przewagę. Pierwszy poradził mu postawienie domu na stopie poważniejszej, i sam urządził niektóre jego części stręcząc mu kucharza, sławnego Rondeau, który służył u Ogińskich, wybierając wina, prawie zawsze dysponując obiady i podwieczorki, które też najregularniej co dzień zjadał, jeżeli go gdzieindziej przysmak jaki nie zwabił. Prawda, że też za to służył podczaszycowi w sprawach potocznych, posłował, chodził, często bardzo zręcznie pomagał w umizgach odciągając niepotrzebnych świadków; w czerpiąc z kieszeni pupila, czynił to z pewnem umiarkowaniem, zawsze *in extremis* tylko, wyrachowawszy że mu ta pomoc na długo służyć będzie mogła.

Cavaliere, który tajemniczą grał rolę przy podczaszycu i nigdy nawet na próg domu jego przy ludziach wejść nie chciał, widywał się z nim codzień prawie na ulicy, w ogrodzie, wśród przejażdżki, ale sam na sam. I on też radził, pomagał, rozweselał, żartował, podochacał, a podczaszyc teraz znajdował go jednym z najprzyjemniejszych i najrozumniejszych ludzi jakich poznał w Warszawie. Pomimo usilnych nalegań Ordyńskiego cavaliere Fotofero nigdy do niego nie przychodził przy gościach, rozmaite dając powody ukrywania się swego. Donosił on podczaszycowi z nowinek miejskich co go obchodzić mogło, a czego inaczej dowiedzieć się było niepodobna, ułatwiał mu pożyczki pieniężne, zachęcał do gry, do hulanki i śmiał się zręcznie z tych co inaczej życie wiedli. Podczaszyc zawsze upatrywał w jego twarzy osobliwsze, uderzające podobieństwo do szatana w obrazie Ś. Michała, ale się już na nią nie wzdrygał, pierwsze doznane uczucie zowiąc dzieciństwem i śmiejąc się z niego; teraz owszem w rysach Włocha znajdował coś wielce dowcipnego, jakąś cechę rozumu, wyraz potęgi i charakteru.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.